

Trzecia i czwarta podróż na Kubę, 1987 i 1989.

Ameryka Łacińska, Hiszpania i Portugalia oczami polskiego iberysty



Hawana. Ulica Cárdenas.

Zygmunt Wojski

Dzięki kontaktom na Kongresie Lingwistyki w Lipsku (w 1986) dostałem zaproszenie na Konferencję Lingwistyczno-Literacką w **Santiago de Cuba**, w styczniu-lutym 1987 r. Zaświadczenie z LOT-u w Madrycie z 1977 r. przydało się i tym razem: kubańskie linie lotnicze *Cubana de Aviación* w Madrycie ponownie wyraziły zgodę na wydanie mi gratisowego biletu na trasie Madryt-Hawana-Madryt. Mało tego. Zostałem bardzo gościnnie przyjęty w biurze na tyłach budynku „Plaza de España” i

poczęstowany wyborną, aromatyczną kawą po kubańsku przez urodziwą Mulatkę.

Leciałem przez Montreal, gdzie był ponad godzinny postój. Pamiętam, że wziąłem z samolotu koc, by się nim nakryć po wyjściu na zewnątrz, gdzie leżał śnieg. Okazało się to niepotrzebne, gdyż wyszliśmy przez rękaw bezpośrednio do wnętrza budynku.



Hawana Hotel Nacional (Narodowy).

W **Hawanie** natomiast tropikalny upał. Zamieszkałem w hotelu „Nacional”. Prześcieradło na łóżku za krótkie: pokrywało tylko dwie trzecie powierzchni łóżka. Na dodatek, znikła z mojego pokoju hiszpańska, podarowana przez Conchitę w Madrycie, bardzo elegancka torba plastikowa na buty. Zrobiłem raban i torbę przyniesiono. U fryzjera czekałem strasznie długo na ostrzyżenie. Obsługa poruszała się jak muchy w smole, najwolniej, jak tylko można! Lilette dała mi w Madrycie torbę wypełnioną kredkami, ołówkami, długopisami, zeszytami dla znajomego księdza Hiszpana. Odszukałem go w dzielnicy **El Cerro** i nie pamiętam, czy od razu, czy po powrocie z **Santiago**, pojechałem z nim, jego kolegą i właścicielką mocno zdezelowanego, starego samochodu na plażę do **Santa María del Mar**, jakieś 30 km na wschód od **Hawany**. Kąpiel wspaniała, ale wiedziałem, że cała trójka poświęciła się, aby spełnić moje życzenie. Właściwie wszystkie domy w **Hawanie** były odrapane, walące się, ale te w **El Cerro**, tak często malowane ongiś przez René Portocarrero

(1912-1985), przedstawiały wyjątkowo żalosny wygląd. Całkowita ruina!

Do **Santiago de Cuba** lecę samolotem. Tam hotel „Balcón del Caribe”, pięknie położony nad skalistym klifem **Morza Karaibskiego**, niedaleko fortecy **El Morro**. Dość skomplikowane i długie dojazdy na Uniwersytet, ale podczas Konferencji wszystko układa mi się znakomicie.



Główny Plac w Santiago de Cuba.



Katedra w Santiago de Cuba.

Mój wykład na temat hiszpańszczyzny argentyńskiej zrobił prawdziwą furorę: był przerywany brawami, a na zakończenie była długa owacja na stojąco!!! Podbiłem serca ładnych dziewcząt, w tym Marceli z Pinar del Río (mężatki!), a na zakończenie, na wieczorku pożegnalnym, dostałem tak zwany „mak sympatii” dla najsympatyczniejszego uczestnika Konferencji. Tak, to szczerza prawda, moi drodzy! Był to czerwony hibiskus. Helmut z Ratyzbony uznał, że to ja, jako osoba z najdalszego kraju, powinienem podziękować organizatorom, co też zrobiłem. W czasie pobytu w **Santiago** odwiedziłem kilkakrotnie moich tamtejszych przyjaciół sprzed lat: Esperanzę Loynaz i Miguela Cabralesa, którego ciotka uznała, że jestem wypisz, wymaluj jak Papież! Dla tych kolorowych ludzi, podejrzewam, wszyscy biali Europejczycy są do siebie bardzo podobni...

Byłem na jednej ze szmaragdowych plaż niedaleko **Santiago** i podczas pływania zobaczyłem na skałach całą kolonię opuncji, a przecież Zosia Orzeszkowska

(pracowała w kaktusiarni Ogrodu Botanicznego Uniwersytetu Wrocławskiego) przykazała mi, że mam jej przywieźć kaktus! Postanowiłem nie odkładać tego na później i wyrwałem jedną taką opuncję, która w szklarni Ogrodu Botanicznego we Wrocławiu bardzo się rozrosła. Była na niej karteczka z moim nazwiskiem i datą przywiezienia. Ale o Zosi pamiętałem przez cały pobyt, bo przy tylu przeprowadzkach nieszczęsna roślina kłuła mnie bezlitośnie!

Na sam koniec poleciałem samolotem w najbardziej tropikalny zakątek wyspy, do miasta **Baracoa**, na południowym wschodzie, u stóp góry **Yunque** (589 m), w kształcie wielkiego kowadła, niedaleko ujścia szerokiej rzeki **Toa** do Oceanu Atlantyckiego. Uwielbiam tę okolicę. Roślinność jest tam bardziej bujna, soczysta i zielona, niż gdziekolwiek indziej, a to ze względu na częste i obfite opady. Towarzyszył mi w tej podróży młody lingwista kubański, który całkiem nieźle mówił po rumuńsku, jako że był przedtem stypendystą w Rumunii. Mieliśmy tam przeprowadzić ankiety na temat uprawy kakao (to tam jest najwięcej plantacji kakao na całej wyspie) i produkcji czekolady (jest tam także fabryka czekolady). Pamiętam, że lało upiornie wieczorem, gdy rozmawialiśmy z pracownikiem plantacji kakao. Nazajutrz byliśmy w fabryce czekolady i dostaliśmy po dwie duże i grube tabliczki przepysznej, aromatycznej czekolady. Był też zgrzyt w hotelu, bo tym razem znikły mi papierosy, ale znowu narobiłem rabanu i na szczęście je odzyskałem. Sprzątac „wyjął” je spod łóżka...



Cienfuegos. Pałac Valle.

Z **Santiago** pojechałem autobusem do **Cienfuegos**. Podróż trwała całą noc. W środku nocy autobus zepsuł się i staliśmy na szosie, gdzieś w prowincji **Camagüey**, ponad dwie godziny. Pod rozgwieżdżonym tropikalnym niebem zabawiałem w tym czasie współpasażerów opowieściami o moich podróżach. W **Cienfuegos** byłem zaproszony przez Instytut Politechniczny. Mimo gigantycznego spóźnienia moi gospodarze cierpliwie czekali na dworcu autobusowym. Zupełnie już nie pamiętam, w jakim hotelu mnie ulokowali, ale owszem, pamiętam, że w pokoju była hucząca klimatyzacja i nie było żadnego okna... Byliśmy nad zatoką **Cienfuegos**, a na drugi dzień w miasteczku **Trinidad** i na plaży **Ancón**. **Trinidad**, kiedyś najpiękniejsze miasto kolonialne na **Kubie**, niedawno odnowione, odmalowane prezentowało się atrakcyjnie, natomiast na plaży w **Ancón** cały pawilon kąpielowy zardzewiały i w ruinie. Na dodatek, jakiś młodzian nie dawał mi spokoju i bezustannie prosił mnie o torbę, którą miałem na kąpielówki. Powtarzał jak zdarta płyta: „Podaruj mi torbę” (*Regálame la jaba*).



Camajuaní. Miasto w centrum Wyspy.

Ostatniego dnia pojechaliśmy przez **Camajuaní**, gdzie były wielkie eklektyczne domy z portalami, do **Remedios**, miasteczka po drugiej stronie wyspy, już nad **Oceanem Atlantyckim**. Słynie ono z kolonialnego kościoła pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela, o złożonym ołtarzu i z wielu starych domów z przestronnymi portalami w stylu kolonialnym. Od dwóch towarzyszących mi młodych pracowników Instytutu Politechnicznego dostałem sporo książek na temat sztuki kolonialnej na **Kubie**. Bardzo mi się potem przydały w pracy.

W **Hawanie** miałem czas, by skontaktować się z moimi znajomymi. Byli to Jorge, Ángel Luis i moja dawna "sympatia" Lourdes. Spacerowałem z nimi po Starej Hawanie, odwiedziłem w domu Ángela Luisa i poznałem jego uroczą mamę, a z Jorgem pojechałem do dzielnicy **Marianao**, gdzie kiedyś mieszkała Kati. Okazało się, że już tam nie mieszka. Z niemałym trudem dotarliśmy do budynku w **Vedado**, gdzie mieszkał teraz jej ojciec i dowiedzieliśmy się od niego, że Kati jest od kilku lat w **Madrycie**. Prosił mnie bardzo, bym zawiózł jej całą dużą teczkę z cennymi

drobiazgami, wśród których najbardziej wartościowa była jakaś biała hinduska miniatura z kości słoniowej. Oczywiście, spełniłem jego prośbę.

Lourdes zaprosiła mnie na spotkanie towarzyskie do kolegi, gdzieś w **Alei Paseo**. Byli tam oprócz niej i gospodarzy między innymi Augusto, Heriberto i Juanito, jej koledzy ze studiów na wydziale architektury Uniwersytetu Hawańskiego. Atmosfera była bardzo wesoła i sympatyczna. Augusto podarował mi pięknego żółto-różowego kajmana uplecionego z liści palmowych. Wciąż dekoruje mój duży pokój. Byłem także na spacerach indywidualnych po **Starej Hawanie**, między innymi, na opisywanym przez Carpentiera placu z kolonialnym kościołem Świętego Chrystusa Dobrej Podróży (*Santo Cristo del Buen Viaje*, XVII). Odwiedziłem także mój dawny „akademik” na ulicy F w **Vedado**.

Dwa lata później, w 1989, znowu dostałem zaproszenie na kolejną Konferencję Lingwistyczno-Literacką do **Santiago de Cuba**. Tym razem uczelnia opłaciła mi przelot, ale tylko w jedną stronę, w drugą musiałem sobie opłacić sam. Odlatywałem z **Pragi**, dokąd pojechałem pociągiem z **Wrocławia** kilka dni wcześniej. Miałem je spędzić u czeskiego lingwisty, Vladimira Konečnego. Nie było go na dworcu. Telefon nie odpowiadał. Wobec tego zadzwoniłem do czeskiej lingwistki Jany Kulovej. Odebrała jej matka mówiąc, że Jana jest już na **Kubie** i że ona mnie „vubec” nie rozumie. Telefon do profesora Dubskiego i... dowiaduję się, że Vladimir od tygodnia nie żyje. Zmarł w tajemniczych okolicznościach w pracy, w wydawnictwie „Naše Vojsko”. Pozostaje więc zamieszkać u Jany. Profesor Dubský załatwił to z jej matką, a ja musiałem pędzić, aby zdążyć przed jej wyjściem, bo wracała do siebie, do **Pilzna**. Jakoś zdążyłem w ostatniej chwili. Po jej wyjściu usiadłem na skraju łóżka i przesiedziałem tak w jednej pozycji ponad dwie godziny... Dwa dni później spotkałem się na obiedzie z prof. Dubskim. Bardzo to był poczciwy człowiek, bardzo mi życzliwy, zresztą autor najlepszej z trzech recenzji mojej pracy doktorskiej na temat hiszpańszczyzny na obszarach Równin Wenezuelskich.



Santiago de Cuba. Forteca El Morro.



Santiago de Cuba. Grób wielkiego poety kubańskiego José Martí (1853-1895).

W **Santiago de Cuba** tym razem ulokowano mnie w jakimś akademiku w centrum miasta. Jedzenie fatalne, na blaszanych tackach! W wyniku rozmowy z Mercedes Cathcart, główną organizatorką Konferencji, przenoszę się do jednego z „domków dyplomatycznych”, w zupełnie odludnym miejscu nad zatoką. Wydostanie się stamtąd graniczy z cudem, bo prawie nie ma autobusów. Odwiedza mnie tam Marcela, jej koleżanka i jakiś absztyfikant tej koleżanki. Dziewczyny chcą mnie udusić z radości, gdy im daję męskie dezodoranty... Absolutne wygnanie! Walczę nadal i wreszcie przenoszę się do tego wspaniałego hotelu „Balcón del Caribe” sprzed dwóch lat. Nareszcie! Ale nie było to bynajmniej łatwe.

Dość często spotykam się z Esperanzą. Raz pojechaliśmy razem na plażę. Była u mnie na obiedzie w hotelu i na spotkaniu z Mercedes Cathcart i jeszcze jedną profesorką. Bardzo liczyła na przyjazd do Polski. Niestety, mimo zaproszenia od rektora Uniwersytetu Wrocławskiego, w końcu nie wypuścili jej. Z Miguelem Cabralesem tym razem widuję się rzadziej. Raz wszyscy uczestnicy Konferencji jadą na długą wycieczkę na plażę, z przygodami, bo gdzieś tam nie chcą nas wpuścić.

Mam znowu wykład i referat. Kiedyś wieczorem wstąpiłem do *Casa de Trova* (dom, w którym koncertują zespoły muzyczne i pojedynczy artyści). Grał akurat tercet, dwaj starsi panowie i starsza otyła Mulatka, która akompaniowała sobie na takim trójkącie uderzając weń patyczkiem. Śpiewała przy tym cudownie! Innym razem w prawie pustej sali koncertowej Kubańskiego Komitetu Przyjaźni z Narodami śpiewała śliczna szczupła wówczas Mulatka o nazwisku Linda Mirabal. To był słowiczy sopran z ogromnym wdziękiem śpiewający po niemiecku pieśni Schumanna i Schuberta. Dzisiaj jest znaną śpiewaczką operową.

Któregoś dnia odwiedziłem znajomą, ładną Murzynkę. Zrobiło się późno i zostałem u niej na noc. Mieszkała z mężem i dziećmi w wysokim wieżowcu. Ale nie będę opowiadał o higienie tam panującej, a raczej jej zupełnym braku.... Rano, gdy chcę wsiąść do autobusu, cała chmara pionierów w czerwonych chustach rzuca się do środka i zajmuje wszystkie miejsca siedzące. Musiałem wydać rozkaz zwolnienia mi miejsca przez jakiegoś smarkacza, aby nie stać. Zwolnił mi je, ale jego koledzy wygwizdali mnie i nazwali beczelnym!!! Oto skutki socjalistycznego wychowania młodzieży!



Hawana. Plaza Vieja (Stary Plac).

W **Hawanie** spędzam pierwszą noc w istnym kołchozie: w jednym pokoju śpi trzech

czy czterech facetów. Nazajutrz, w obecności mojego przyjaciela Jorgego, staczam prawdziwy bój (Jorge powiedział potem, że broniłem się jak kot leżący na grzbiecie i zawzięcie przebierający łapkami!) i osiągam swój cel: przenoszę się do hotelu „Nacional”, ale tylko na kilka dni, w ciągu których odwiedzam Ángela Luisa i jadę z Lourdes i jej dziećmi do ogrodu botanicznego, daleko za miasto.



Willa poetki Dulce María Loynaz.



Dulce María Loynaz (1902-1997).

Odwiedzam też poetkę Dulce María Loynaz (1902-1997) w jej wielkim domu w dzielnicy **Vedado**, gdzie mieszka w towarzystwie całej sfory drobnych psów. Miała wówczas 87 lat, ale błyskotliwość umysłową nadzwyczajną. Zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Elegancka wielka dama. Trzy lata później (1992) została laureatką literackiej nagrody im. Cervantesa w Hiszpanii.

Walizkę zostawiam u kubańskiego lingwisty Sergia Valdésa, w dzielnicy **Nuevo Vedado** i jadę autobusem do **Pinar del Río**, by odwiedzić Marcelę, a potem pojechać do pięknej **Doliny Viñales**, którą, oczywiście, znam, ale marzę o tym, by spokojnie sobie po niej powędrować. Jazda autobusem niesamowita. Zrobiło się nagle zimno, nadszedł jakiś zimny front znad Alaski, a w podłodze autobusu dziury na wylot. Jakiś staruszek próbuje je zatkać gazetami! Okno otwiera się bezustannie.

W końcu siadam przy samym oknie i cały czas trzymam je, by się nie otwierało. Po czterech chyba godzinach takiej jazdy autobus dociera do celu. Na dworcu autobusowym w **Pinar del Río** czeka Marcela z mężem. Wiozą mnie do znajomych, bo oni nie mają w domu dodatkowego łóżka dla mnie, a ci znajomi i owszem. Kupił je ich syn w Odessie, gdzie podczas pobytu stypendialnego sprzątał ulice w nocy, aby na to łóżko zarobić. Niezbyt wygodnie śpi się na tym łożu i tną komary, a więc spanie średnie.



Dolina Viñales.

Nazajutrz dowiaduję się, że Marcela dostała telegram i musi jechać do **Hawany** na jakąś konferencję w charakterze tłumaczki z angielskiego. Jej mąż taksówkarz wiezie mnie w kierunku **Doliny Viñales**. W hotelu "nie ma miejsc", więc jedziemy dalej i na parkingu spotykamy jego kolegę, też taksówkarza, który wiezie francuskiego turystę. Wdaję się w rozmowę z tym Francuzem i oferuję mu swoje usługi tłumacza w zamian za podwiezienie do hotelu, gdzie według niego na mur beton będzie miejsce.

Amerykański samochód z lat czterdziestych, z wielką mewą na masce, toczy się z wolna. Podróż trwa i trwa, a jeszcze wstępujemy do jakiejś kuzynki taksówkarza. Tam kawa i owoce. Gdy wreszcie dotarliśmy do owego hotelu, „miejsca nie ma”. Taksówkarz dalej nie chce jechać i żąda od Francuza zapłaty w kubańskich pesach. Ten ma tylko dolary, których taksówkarz nie chce wziąć, bo tak oficjalnie nie wolno. Ostra wymiana zdań. Otacza nas wieniec gapiów. Francuz niczego nie rozumie, jest zdenerwowany. Wreszcie to ja bezzwrotnie pożyczam pieniądze i wsiadamy do kolejnej taksówki, która wiezie nas do miejscowości wypoczynkowej **Soróa**, dokąd dojeżdżamy pod wieczór.



Soróa. Stylowy hotel.



Soroa. Piękne wzgórza dookoła.

W **Soroa** ta sama historia: „miejsca nie ma”. Gdy wyszliśmy na zewnątrz jest już noc. Czekamy na autobus do **San Cristóbal**. Rozbolało mnie gardło i jestem wściekły, czego nie ukrywam przed wartownikiem. Głośno wylewam swe żale przysięgając, że nigdy więcej nie przyjadę na **Kubę**. W pewnym momencie wartownik znika i po jakimś czasie woła z recepcji w moim kierunku: „Towarzysze! Jest pokój. Chodźcie!” I tak tylko dzięki temu wartownikowi udało nam się zanoć w **Soroa**. Rano spacerujemy po parku i w pewnym momencie dwóch policjantów po cywilnemu zatrzymuje nas ostrzegając, żeby Francuz nigdy więcej nie próbował wymieniać dolarów wśród pensjonariuszy (okazuje się, że to robił i ktoś na niego doniósł policji). Same przyjemności! Wczesnym popołudniem docieramy do miasteczka **Candelaria**, skąd przedpotopową taksówką w bardzo wolnym tempie już pod wieczór dojeżdżamy do Hawany. O spacerze po **Dolinie Viñales** nie było mowy. Cały poprzedni dzień straciłem na poszukiwanie noclegu.

Tego samego dnia około północy Sergio Valdés odwozi mnie na lotnisko. Wracam do **Pragi**, a po nocy spędzonej w hotelu w **Kladnie**, 25 km od **Pragi**, nazajutrz lecę do

Warszawy, skąd pociągiem do **Wrocławia**. To była moja ostatnia za panowania Castro podróż na **Kubę**.

Fotografie pochodzą z serwisu Flickr

Zygmunt Wojski, „Od Łupi do Parany i Amazonki”, s. 165. Impresje polskiego iberysty z podróży naukowych do Ameryki Łacińskiej, Hiszpanii i Portugalii, dotyczące historii i kultury odwiedzanych krajów. Ukazują się w drugi czwartek miesiąca.

Wydawców zainteresowanych publikacją książki prosimy o kontakt z redakcją Culture Avenue.

Galeria



Chata wiejska zwana bohío.



Dom kolonialny w Remedios.



Dom Pieśni Ludowej (Casa de la Trova) w Santiago de Cuba.



El Yunque (Kowadło) góra widziana z miasta Baracoa.



Góra Kowadło (El Yunque) nad miastem Baracoa



Hawana. Dzielnica El Cerro (witraż z XIX wieku).



Hawana. Kościół Świętego Chrystusa Dobrej Podróży.



Okolice Baracoa. Owoce kakao.



Pinar del Río na zachodzie Wyspy.



Pinar del Río Najznamienitszy pomnik architektury w mieście eklektyczny Pałac Guasch.



Plaza Ancón koło Trinidadu.



Plaža Siboney w pobliżu Santiago de Cuba.



Podhawańska plaża Santa María del Mar.



Podhawański krajobraz.



Prowincja Hawana. Schody Jaruco (Escaleras de Jaruco).



Remedios. Domy mieszkalne.



Remedios. Kościół św. Jana Chrzciciela.



Rzeka Toa najszersza na Kubie (okolice Baracoa).



Sierra del Rosario (Góry Różańcowe) na zachodzie Wyspy.



Trinidad u stóp Gór Escambray.



Trinidad.



Trinidad, najlepiej zachowane kolonialne miasteczko.



Wysepki na Zatoce Santiago de Cuba.



Wzgórza Santa Fé i Dolina Camajuaní.



Zatoka Baracoa i góra El Yunque.

Poprzednia część Dziennika z podróży:

<http://www.cultureave.com/pozniejsze-podroze-po-hiszpanii-1987-1989-1995-1998--2001/>